



Cena egzempl. 50 gr.

Pren. mies. z przes. 2 zł.

Urzednicy państwowi 25% zniżki.
 Ogłoszenia $\frac{1}{1}$ str. 400 zł.
 „ $\frac{1}{2}$ „ 200 „
 „ $\frac{1}{4}$ „ 100 „

Ogłoszenia w tekście 50% droższe

wiersz mm. przy ukł. 3 łam. 40 g.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
 POZNAŃ, UL. PIEKARY 20-21
 TELEFON 22-46

Konto P. K. O. Poznań 213.934

ROK I.

POZNAŃ, DNIA 12 PAŹDZIERNIKA 1931

NR. 20

Nowa kolonizacja

Kryzys gospodarczy z jego wszystkimi dobrodziejstwami odwraca często uwagę społeczną, od normalnej wrażliwości na doniosłe, a nieraz mało dostrzegalne wydarzenia:

W trwającym obecnie okresie depresji gospodarczej, za ledwie na krótką chwilę, można przywiązać uwagę społeczeństwa do wypadków wielkiej wagi: Przykładem może być, choćby, podana przez całą niemal prasę polską rewelacja o działalności gdańskiej Schupo i jej współpracy z deutsche Abwehrstelle: Dziś już to przebrzmiało echo:

Idzie nam o zagadnienie walki o polski stan posiadania ziemi: O zagadnienie ciągle aktualne: Problem walki prowa-

Zagadnienie walki o ziemię przez polityków porządkowych traktowane jest dość groteskowo. Zawsze zostaje słomiany zapal i „długie nocne rodaków rozmowy“.

Cechuje nas, w wolnej niepodległej Polsce, w stosunku do ziem rdzennie polskich, do których sąsiedzi radziby zaglądać, jakaś defetystyczna psychoza, jakaś nieudolność trzeźwego stawiania sprawy. Świadectwem tego niech służy fakt istnienia instytucji, nazwa których, mówmy szczerze boli: „Związek Obrony Kresów Zachodnich“, „Związek Obrony Kresów Wschodnich“, „Związek Obrony Podkarpacia“, ma-luczko a będziemy mieli Związek Obrony Mazowsza, Ziemi Krakowskiej i t. d.

Fakt, że uważano za wskazane powołać do życia takie organizacje świadczy najlepiej o tem, że istnieje potrzeba społeczna nadania tym instytucjom wskazań i celów gospodarczych, realnych, z trzeźwym programem i możliwością realizacji. Dziś wymienione organizacje ograniczają się do działalności społecznej.

Świeżo na terenie Wielkopolski i Pomorza rozpoczął „dobroczyńną“ działalność bank niemiecki, lansowany, jak szereg innych imprez tego rodzaju, przez Gdańsk, Bank t. zw. Hacege.

Otóż instytucja ta udziela kredytu hipotecznego właścicielom polakom, rzekomo bezprocentowego, obostrzonego całym szeregiem rygorów, żywo przypominających rygory Komisji kolonizacyjnej. Zastrzega sobie prawo odkupu na wypadek niedopełnienia rat, prawo pierwokupu, zaintabulowanie własności itd.

Oto co pisze Jakób Wojciechowski, laureat Instytutu Socjologicznego w Poznaniu, jako bezpośrednio obserwujący działalność banku Hacege w Barcinie pow. Szubin.

„Niestety już setki naszych polskich rodaków z krwi i kości pokupili sobie około mnie miejsce budowlane, już mają kamień na fundamenta nawieszony, ale jeno czekają na pożyczkę niemiecką z Banku Hacege z Gdańska i mi się serce krajało gdy żem czytał ten statut w języku niemieckim i te warunki, które zapewno moi kochani Panowie dobrze znacie. Ale boli mnie serce bardzo, kiedy czytałem ten jeden warunek, że każdy musi sobie pozwolić na widocznym miejscu przyłożyć tablicę z napisem Eigentum Banku Hacege



Prof. W. Roguski.

Madonne z pasterzami.

dzionej z wojującą albo zamaskowaną Niemczyzną. Jest znakiem czasu, że Wielkopolska w tej dziedzinie znajduje się stale w defensywie, stale społeczeństwo przyjmuje pozycję raczej obronną niż zaczepną. Walka o stan posiadania ziemi jest nam stale narzucana. Walkę przyjmuje się, w warunkach, które zdawałyby się wróżyć powodzenie wyzwaniem. Niestety tak nie jest.

i t. d. i prawie mam rodaka, który już wpłacił 1200 zł, jeden procent, na osiągnięcie tej bezprocentowej pożyczki, na lat coś dwadzieścia, a prawie prosto w moje okno będzie wisieć ta niemiecka tablica“.

Statut, warunki i sposób udzielania pożyczek przez wymienioną instytucję, łapichłopstwo pod szyldem udzielania pożyczki bezprocentowej, jest tylko środkiem do ugruntowy-

wania niemieckiego stanu posiadania ziemi w Wielkopolsce.

Tej niecznej robocie trzeba położyć kres. Trzeba budzić czujność społeczeństwa. Trzeba z programu walki z objawami tego rodzaju uczynić zagadnienie regionalne, trzeba umieć je w pracy nad państwowością i budowaniem zadań dla regionalnej polityki postawić w rzędzie zadań istotnych i przy pomocy najwyższych czynników wytepić bezlitośnie.

St. Zawadzki.

Prof. Cassel o katastrofie angielskiej

W prasie zagranicznej publikuje znany ekonomista szwedzki prof. Gustaw Cassel artykuł na temat ostatniego krachu waluty angielskiej. M. in. czytamy w nim co następuje:

Od dawna już przestrzegano daremnie przed nienaturalnym rozdziałem złota na świecie. Liczne kraje zamorskie musiały też przeto porzucić walutę złotą, a było do przewidzenia, że i Europę los ten nie minie. Niktby jednak nie był przypuszczał, że właśnie Anglja, twórczyni waluty złotej, która za jej przykładem stała się podstawą systemu pieniężnego całego świata, pierwsza padnie ofiarą. A przecież stała się ta niesłychana rzecz, zagrażająca gospodarstwu światowemu trudnościami o rozmiarach nie dających się dziś jeszcze przewidzieć. Nasuwa się atoli pytanie: czy musiało się to stać?

Otóż o ile chodzi o Bank Anglji, to stwierdzić należy, iż popadł on poniekąd w ten sam zasadniczy błąd, co Bank Rzeszy. Wprawdzie angielska instytucja emisyjna obniżyła w lipcu swoją stopę do 4 i pół procent, lecz utrzymywała ją pomimo, że musiała zaspakajać coraz bardziej wzmagające się zapotrzebowanie i mimo nadzwyczajnego zaostrzenia się kryzysu. Skoro bowiem w chwili obecnej 6-procentowa stopa dyskontowa uważana jest za konieczną, to należało ją już o wiele wcześniej wprowadzić, gdyż wówczas skutek jej byłby o wiele silniejszy. Bank emisyjny nie powinien wogóle nigdy chwytać się tak rozpaczliwego środka, jak zawieszenie wypłat w złocie, jeśli przed tem nie próbował bronić się jak najsilniejszymi stopami procentowymi. O ile zaś chodzi o rezerwy złota, to ich zadaniem jest właśnie umożliwienie wypłat w złocie, choćby te rezerwy miały być wyczerpane do ostatniego grosza, zanim bank emisyjny decyduje się zawiesić wypłaty w złocie. Bank Anglji dysponował w dodatku jeszcze ostatnio 135 milionami funtów szterlingów, któremi mógł zaspokoić dość znaczne zapotrzebowanie. A kto wie, czy przez takie całkowite wyzyskanie rezerw nie dałoby się wszystkiemu zapobiec.

Nie należy ponadto zapominać, że import złota wywołuje także skutki w krajach, do których kruszec ten się dostaje. Innemi słowy: wzrost efektywnej siły nabywczej tych krajów dałby się osiągnąć ze skutkiem, że światowy poziom cen znowuby poszedł w górę. Jest to zaś jedyny skuteczny środek do położenia kresu przesileniu gospodarczemu. Rząd angielski mógł zresztą także zastosować silniejsze środki celem poprawy bilansu płatniczego. Przedewszystkiem przez zahamowanie importu towarów luksusowych.

Jeśli zaś teraz zapytamy, jak to się stało, że Anglja mogła popaść w tak niesłychane trudności, to odpowiedź znaj-

dziemy już w poprzednim rozwoju kryzysu. Gdy bowiem światowy poziom cen w ostatnich dwóch latach bezustannie spadał, to w Anglji jednk nie zmieniono poziomu płac robotników. Tym sposobem zaś musiała równowaga gospodarcza zachwiać się. A pierwszym następstwem takiej sytuacji jest oczywiście wzrost bezrobocia. Gdy zaś wzrost ten starał się zwalczyć zapomogami, to zrujnował finanse państwa i naraził cały kraj na brak zaufania. W takich bowiem razach utrzymuje się taka siła nabywcza ludności, która umożliwia bezustanny import towarów, gdy eksport z powodu wysokich kosztów produkcji w kraju jest sparaliżowany. Następstwem zaś takiego stanu rzeczy jest wzmagający się deficyt bilansu płatniczego, który oczywiście silnie zagraża walucie. Taki to rozwój stosunków właśnie spowodował w Anglji katastrofę. To też to, co się tam teraz stało, powinno być dla wszystkich krajów przestrogą przed kontynuowaniem zwyrodniałej polityki zapomogowej oraz wszelkich eksperymentów socjalistycznych.

Zgon Aleksandra Skrzyńskiego

Z życia publicznego w Polsce ubył znów wybitny człowiek, popularna postać, znakomity dyplomata i mąż stanu. Nie chce się wierzyć w tak bardzo tragiczną śmierć Aleksandra Skrzyńskiego, człowieka w pełni sił, bo liczącego zaledwie lat 50, pełnego planów i nadziei.

Aleksander hr. Skrzyński odegrał w życiu politycznym bardzo poważną rolę, jako premier i kilkakrotny minister spraw zagranicznych, jako znawca stosunków międzynarodowych, jako osobistość mająca wielkie koneksje i stosunki.

Za jego urzędowania i przy Jego najczynniejszym współudziale doszło do skutku kilka aktów politycznych, dla Polski doniosłych, jak traktat przyjaźni polsko-rumuński, (Zmarły był wówczas posłem w Bukareszcie), uznanie naszych granic wschodnich przez Radę Ambasadorów, konkordat z Watykanem, protokół genewski, umowa locarneska. Jako gorący zwolennik pokoju cieszył się wysokim uznaniem zagranicy, czego dowodem było m. in. powołanie Go jako superarbitra w sporze między Peru a Chile. Dokumentem tej służby idei pacyfistycznej pozostanie książka „Polska i pokój“.

Szczególnie dobrym był stosunek Aleksandra Skrzyńskiego do prasy i propagandy. Skrzyński lubiał otaczać się dziennikarzami, zapuszczał się w długie dysputy, uważał prasę za jeden z najbardziej wpływowych organów rządu i systemu rządu. Był orędownikiem i protektorem każdej celowej propagandy i akcji prasowej.

Patiomkinowska robota

Zasady organizacyjne BBWR, tak pomyślano, by sieć przewodów nie zatraciła właściwości rdzennych prądu, by nie wdarły się węń przymieszki i osady, by impetu wewnętrznego nie załamały opory. Schemat jest więc prosty: Działanie przez wypróbowane jednostki na szersze koła. (Jan Starzewski: W walce o nową Polskę, Warszawa, Droga).

Prezys Bloku pułk. W. Sławek zdyskwalifikował wartości organizacyj czysto politycznych, przemówieniem na posiedzeniu Bloku w jesieni 1929 r. Sprowadził je do „próżnego gadania“, zdaniem jego przywódcy politycznych grup, pragnących utrzymać organizacje przy życiu, również „tylko gadają“. Stanowisko takie prezesa grupy par. BBWR nawoływało do prac programowych w terenie, zgodnie z powołanym wyżej wskazaniem działania przez wypróbowane jednostki na szersze koła. Przeciętny obywatel spełnia swój akt polityczny bardzo rzadko, w czasie wyborów oddając głos.

(Prezes Bloku, na posiedzeniu wzmiankowanym wyżej dał jasne wytyczne jak należy organizować przeciętnego obywatela. A więc: przez organizacje zawodowe, społeczne samopomocowe, przysposobienia wojskowego. Jednostka musi świadomie oddawać pewien wysiłek na rzecz celu przyświecającego organizacji.

Następną komórką, przygotowującą obywateli do rządzenia sobą są samorządy. Splot zawitych zagadnień państwowych, przerastający przeciętne wyrobienie społeczne obywatela, wymaga stopniowego rozszerzania horyzontów w komórkach jaknajmniejszych.

Ideą Bloku zatem było zdobyć sobie na każdym terenie np. na powiecie kilku ludzi, którzyby potrafili ująć „całokształt przyjętej przez Blok nowej metody pracy, nowego myślenia politycznego“.

Ten program został na terenie Wielkopolski jednak tylko pobożnym życzeniem. Tu za możliwych rządów „typów koniunkturalnych“ praca w terenie leżała długi czas odłożeniem. Komitet regionalny nie istniał. Dziewictwa równowagi podziałów i układu sił nikt naruszyć się nie odważył. Przyszło widmo wyborów, więc w przerwach między moglińskim pokerem, czy szamotulskim ferblem, na argonautycznych wycieczkach preparowano „aparaturę organizacyjną“ na kolanie, odrabiając długi okres lenistwa. Montowano Blok. Tak od święta na spodziewane oględziny. Bez jakiegokolwiek odczucia albo uwzględnienia wskazań prezesa Bloku, tak tylko aby był. Robiono malowany Patiomkinowski Blok. Lokalny wielmoża ciepnął w kąt wskazania prezesa swego klubu. Były za głębokie, wymagały pewnej pracy umysłowej.

W naświetleniu, zdaje się, ówczesnego prezesa Zarządu Wojewódzkiego Zjednoczenia Pracy Miast i Wsi, Dra Romana Konkiewicza, „Przełom“ Nr. 24 (172) pod datą 15. 6. 1930 roku tak wyglądał Blok przed wyborami:

„Nici działania politycznego w Bloku Bezpart. i poza Blokiem wzięli w swe ręce ludzie nie tylko nie mający nic wspólnego ze społeczeństwem, ale nawet przed oczami społeczeństwa ukryci, porozstawiani jednak na różnych placówkach i ważnych odcinkach życia publicznego, ludzie dezorganizujący powierzone im odcinki pracy nie tylko niskim poziomem kwalifikacji fachowych ale często i brakiem kwalifikacji ideowych. Aparatura powiatowa (trudno mówić o

organizacji) Bezpartyjnego Bloku stała się w ich ręku instrumentem rozgrywek politycznych, nadzoru sumień ludzkich i prawomyślności politycznej, inwigilacji starostów, sędziów, nauczycieli — inwigilacji sprawowanej, oczywista znowu przez typy koniunkturalne, tak szybko w ostatnim czasie porastające w siły i wpływy. *Urzędnik bankowy* dla przykładu — niedawny przybysz — umie znakomicie trząść i urzędami i Bezpartyjnym Blokiem, „wykańcza“ ludzi jednych a drugich darzy łaskami, wydaje opinie o wszystkim i wszystkich, podpisuje enuncjacje Bezp. Bloku — oczywiście nazwiskiem nie własnym, lecz członków Komitetu, nie pytając nikogo o pozwolenie, czy upoważnienie — oto typ działacza politycznego w nowym stylu, działacza budzącego rozpacz wśród ludzi, pracujących na terenie w innej skali celów i metod“.

Wybory nie przyniosły zmiany panujących w Bloku stosunków. Hymen dziewictwa równowagi sił i układu statycznego nienaruszony. Z tą tylko różnicą że Zjednoczenie Pracy Miast i Wsi, jako grupa zyskała w Bloku wpływy. Nie będzie i nie ma jej reprezentant okazji do utyskiwania że: Nie możemy brać dalszej odpowiedzialności za to wszystko, co się tu od pewnego czasu dzieje, skoro nie mamy wpływu na usunięcie zła“. (Przełom, nr. cyt).

Dziś bowiem Z P W i M odgrywa dominującą rolę w Bloku na tutejszym terenie, a członek Z P W i M jest prezesem komitetu Regionalnego BBWR, dziś ponosi więc 100 procent odpowiedzialności.

Aktualność zagadnienia metod pracy Bloku do dnia dzisiejszego nie straciła nic na powadze. „Źródło zła“ nie usunięto. Trzeba mówić otwarcie, zawiodły jakiekolwiek inne środki oczyszczenia sytuacji.

Ten osławiony Patiomkin roboty Blokowej w terenie, ten jedyny źle poinformowany i jedynie dobrze informujący, jeszcze oświeca teren.

Skoro przy swawoli koniunkturalnych typów społeczeństwo wielkopolskie dało 6 mandatów do sejmu w czasie ostatnich wyborów, to najwyższy wskaźnik, że można zrobić na tutejszym terenie dużo więcej, lecz bez tego rodzaju surofosfatu.

Nazwa sama Blok współpracy z Rządem narażana jest na urągawisko przez tego rodzaju typy i ich stosunek do władz.

Wołamy o szacunek władzy: wołamy głosem niestłumionym, o jedno z największych dóbr moralnych regionu wielkopolskiego o szacunek dla władzy!

Przecież chociaż tem powinniśmy się różnić od opozycji. Cele i środki osobistych interesów wykańczania ludzi są nadto przejrzyste by ich nie rozumieć.

Poświęcać dla kariery prasę prorządową, żywe, martwe dzienniki, i urlopowane, dziennikarzy, sumienia ludzkie i to wszystko zasłaniać koronkową robotą, co już nie dratwą, ale pociągłem szyta, zasłaniać prestiżem Bloku, to dewastacja na czyj — pytamy — robiona rachunek.

Jakże miło jest zakończyć słowami jeszcze raz powołanego Dra Konkiewicza, z artykułu, który już cytowałem: „Chcemy bowiem szczytne idee Marszałka Piłsudskiego realizować a nie grzebać. Będziemy więc nadal budowali jego obóz w społeczeństwie“. „Dzierżymy sztandar sanacji moralnej, nie pozwolimy sztandarowi ideowego płamieć we własnym obozie“.

w. i.

WIELKOPOLSKO!

Pieśniarz Twego Powstania ginie w nędzy!

Było to w roku 1909. Do polskiego stolika kawiarni „Odeon“ w Monachjum przyprowadził Lech Suchowiak dziwnego gościa. Był obdarty, w zakurzonem ubraniu, w długich butach, z grubą łolą w ręku. Poeta samouk, mówiono, który pieszo odbywa podróż z Szwajcarii do Rzymu. I zaczął poeta ten opowiadać o swych podróżach, o swych włóczęgach, a my młodzi akademicy słuchaliśmy z uwagą zajmujących wynurzeń. Dużo krajów zwiedził na piechotę, lecz niema to jak nasz kraj ojczysty, nasze góry i doliny, nasze rzeki i nasze lasy, mówi. Tak poznałem poetę. Był to Roman Wilkanowicz.

Było to w roku 1914. Jak setki tysięcy Polaków, tak i jego wpakowano w „feldgrau“ mundur pruski i kazano bić się za znenawidzony przez niego „Faterland“. Setki tysięcy poszło i, choć z buntem w sercu, wykonywało twarde rozkazy, on jednak z nieliczną garstką nie wytrzymał. W jego sercu bunt był za potężny, aby nie wybuchnąć na zewnątrz. Rzucił karabin, wrócił do kraju i ukrył się w lasach. Ścigany przez żandarmów pruskich nie stchórzył jednak. Zwątpionym sercom rodaków, zastraszonemu umysłom śle piękne poezje, w których odzwierciadla się cała martyrologia Wielkopolski, zmuszonej bić się za tych, którzy nawet pacierza w ojczystym nie pozwalali odmawiać języku. Jego elegie „Kyrje Elejson“ „Ojczyzna nasza“ „Ave Maria“ i „Chryście“ są ubranem w piękne szaty poetyckie odbiciem zbolalej duszy wielkopolskiej w okresie wielkiej wojny. Aż wreszcie i jego dosięgła ręka pruskiego żandarma i rok przesiedzieć musiał w więzieniu pruskim. Był to Roman Wilkanowicz.

Było to w roku 1918. Brać wielkopolska nie wytrzymała. Zrozumiała, że nadeszła chwila, gdy trzeba z bronią w ręku odebrać to, co nasze, że trzeba złożyć na ołtarzu Ojczyzny krwawą ofiarę, aby ta „wolność nie była nam jałmużną darowaną i dziękowań dłużną“. Jednym z najgor-

liwszych zwolenników zbrojnej rozprawy z Prusakami, jednym z tych, którzy najlepiej umieli swym zapalem porwać dla idei powstania swych braci, był Roman Wilkanowicz.

Było to w roku 1931. Były generał rosyjski E. de Hermining Michaelis, którego napróżno będzie historyk szukał w szeregach wodzów armji polskiej w latach wywalczenia niepodległości, zaśmiewa się w jubileuszowym wydaniu narodowego pisma z idei oporu i walki czynnej na ziemiach wielkopolskich podczas wojny światowej, nazywając ją „historycznym nawoływaniem do wszczęcia zamętu, zabójczego dla sprawy polskiej“, a gorący zwolennik tej idei, powstaniec i piewca jego leży ciężko chory na barłogu w Aninie, aby być w końcu przewiezionym do starozakonnego szpitala w Warszawie, który go przyjmuje dopiero po zapewnieniu rodziny, że starać się będzie pokryć koszty, a jeżeli tego nie zdoła, to chyba gmina Poznań je poniesie. Tym, który leży w nędzy w żydowskim szpitalu w Warszawie, to Roman Wilkanowicz.

Tak jest! Zasłużony syn tej antysemitkiej Wielkopolski, więzień pruski, ten, który swymi wierszami krzepił nas w najcięższych chwilach wojny światowej, który sam chwyciwszy za karabin setki pobudził do walki z najeźdźcą, jedyny poeta powstania Wielkopolskiego, który świadom swego dobrze spełnionego obowiązku mógł „ze spokojem patrzeć w Twoje lice“, Roman Wilkanowicz, złożony ciężką chorobą, w nędzy i biedzie znalazł schronienie w żydowskim szpitalu w Warszawie. Czyżby nie znalazł się w Wielkopolsce szpital, któryby przyjął do siebie chorego poetę, czyżby nie znalazło się w społeczeństwie wielkopolskim ludzi, którzyby zebrali odpowiednią kwotę na znośną i odpowiednią kurażę zasłużonego pieśniarza! Jerzy Kwieciński.

PS. Choć i do mnie nędza mocno zagląda, daję na fundusz ratowania Romana Wilkanowicza zł. 5. —

Tajemnicza wędrówka

W sierpniu i wrześniu r.b. wydarzyły się wypadki masowej ucieczki mieszkańców miejscowości pogranicza wschodniego do Rosji Sowieckiej.

Jest to bardzo dziwne zdarzenie. Dotychczas bowiem byliśmy świadkami ucieczki włościan z Rosji Sowieckiej do Polski.

Część tych „emigrantów“ powróciła z Rosji. Niektórzy opowiadają, że uciekli do Rosji za namową agitatorów bolszewickich. Tam zamknięto ich w obozach i ściśle izolowano od zetknięcia z miejscową ludnością. Podobno w Mińsku było takich „emigrantów“ przeszło 3 tysiące.

Po powrocie do Polski stanęli oni przed sądem za nielegalne przekroczenie granicy. Zeznania ich nie wyjaśniły właściwie celu, jak mają bolszewicy w przeprowadzaniu tej wędrówki. Do Polski nie wrócili dobrowolnie, lecz zostali samochodami odstawieni do granicy.

U pewnego sklepikarza na kresach zjawiał się młody człowiek, który oświadczył, że wyjeżdża do Rosji. Gdy sklepikarz zapytał go, dlaczego o tem głośno mówi, odrzekł, iż aresztowania się nie boi, bo jest bezrobotnym, a w kryminalu będzie w każdym razie miał co jeść i gdzie spać.

Bolszewicy nie dopuszczają do zetknięcia się swych poddanych z przybyszami z Polski i to jest znamienne i zupełnie zrozumiałe.

Poddani sowieccy opowiedzieliby uciekinierom, w jakiej nędzy i grozie żyją. Unicestwiłoby to cel, zamierzony przez władców sowieckich. „Rozkosze raju sowieckiego“ otrzymałyby należyte oświetlenie.



Prof. W. Roguski.

Madonna z dzieciątkiem.

Dzwon, który oby nie był dzwonem na głuchych

Na marginesie odezwy Najwyższego Dostojnika Kościoła Katolickiego w Polsce

Potężny zew, troską o przyszłość kraju nabrzmiały, a skierowany do całej polskiej katolickiej powszechności, wyszedł z pod dostojnego pióra J. Em. ks. kardynała Prymasa Hłonda.

Głos Najwyższego Dostojnika Kościoła w Polsce musi
ZATARGAĆ SUMIENIAMI

i sercem każdego z nas. Powinien on wzbudzić tklive echo w tych wszystkich najlepszych naszych uczuciach, które nie zastygły w kamieniu obojętności, które nie utonęły w oceanie samolubnego egoizmu tak szeroko rozlanego na naszym globie.

Odezwa J. Em. ks. kardynała to wielki dzwon nie na trwogę, ale na męskie przetrwanie twardej chwili kryzysu.

„Dziś poczynają się objawiać — czytamy w odezwie — przed porażoną ludzkością skutki tej niebożnej gospodarki „mamony niesprawiedliwości“. Wszak nigdy nie było tyle złota, takich cudów techniki, tak rozwiniętego przemysłu i handlu, tak zapchanych pszenicą i żytem śpichlerzy, tylu opiekunów robotników, takiego ustawodawstwa społecznego, a jednak rozgrywać się poczynają niebывała w dziejach ludzkości tragedia gospodarcza i społeczna, wyrażając się już na samym wstępie brakiem pieniędzy, niewypłacalnością, bankructwami, niedolą robotnika i inteligenta, biedą, głodem, bezdomnością, tragedjami i powszechną niepewnością ekonomiczną. Odsłania się przed nami przepaść, którą dotąd sztucznie pokrywano złudnemi hasłami. Ubóstwiane teorie i systemy społeczne walą się w gruzy wśród zgiełku groźnych wstrząsów a narody czują, że są ofiarami fałszywych idei, epokowych błędów i wielkiej „niesprawiedliwości mamony“. Przepada stary porządek. Ze światowego przesilenia gospodarczego, z bólu całej ludzkiej rodziny powstawać będzie powoli nowy okres dziejów, da Bóg szczęśliwy i lepszy, bo oparty budową swoją o prawo boże. Oby te cierpienia, te łzy, ta krew stały się chrztem mamony, wyciskając na niej piętno boże, znak jej przeznaczenia nie ku udręce, lecz ku szczęściu i postępowi ludzkości.

I dalej czytamy jakie mądre uwagi na temat zrewidowania dotychczasowego systemu naszej gospodarki indywidualnej i społecznej:

„Nie łudźmy się, jakoby przesilenie już osiągnęło najwyższe napięcie lub jakoby rychło nastąpić miało odprężenie. Przygotowujemy się raczej na to, że kryzys będzie się przewlekał. We wszystkich domach należy uprosić gospodarstwo i zaprowadzić dalsze oszczędności, ograniczając wydatki, zwłaszcza te, które umniejszają majątek narodowy. Nie wolno nam dzisiaj tak żyć, jak gdyby nie było bezrobotnych, głodnych i bezdomnych tułaczy. W tak nadzwyczajnych czasach nie pora na wystawności, kosztowne zabawy i występy. Miejmy szacunek dla nędzy bliźniego i nie prowokujemy jej niczem. Nawet w tem, co dozwolone i nieprzesadne, umiemy się ograniczyć, aby odłożyć grosz na gorszą chwilę i wspierać regularnie biednych“.

Kto pozostanie głuchy na głos ojcowskiego napomnienia Najwyższego Pasterza Kościoła Katolickiego w Polsce?

Nie prowokujemy nędzy! Nie zwódźmy się sytem zadowoleniem, że robotnik polski, że inteligent polski, obadwaj głodni, nie uważają się na nic, coby kraj wepchnęło w odmet anarchji. — Nie opierajmy swe beztroskiej pewności, na także dziś już nadużytej teorii, że górujemy etycznie, moralnie nad naszym sąsiadem za ścianą wschodnią. Pamiętajmy o tem, że PRAWO ŻOŁĄDKA jest zwierzęce pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. — Nie czekajmy aż perypetje Górnej Wildy przyjdą na Plac Wolności, bo może się cudowna data 27 Grudnia już więcej nie powtórzyć. — Ale niech bogate centrum Poznania, mieszkańcy wil i luksusowych apartamentów jeśli już nie sentymentem wiedzeni, przecież niechajże w momentach niebezpiecznego napięcia rządzą się dobrze zrozumiałym interesem własnym.

Korab naszej Ojczyzny nie tonie, ale już podlewają go wzburzone wały morza bezrobocia. —

Wszyscy na pokład Ojczyzny. Najwyższy Pasterz bije w dzwon opamiętania; niechajże dzwon ten nie będzie dzwonem na głuchych.

L. S.

Z TYGODNIA

Bo największy w tem ambaras żeby spędzić... ale zaraz.

Strajkowi teatralnemu i tej okoliczności, że Zoolog nie zorganizowany jest w ZASP'ie, mogę zatwierdzać to, że w ubiegłą niedzielę spędził kilka chwil w poznańskim zwierzyńcu, a jak mogłem wyczuć przy obustronnem zadowoleniu.

Dzięki mej szczodrobliwości stół połknął kilkanaście liści jakiejs gąlezi a szympars wdzięcznie na mnie popatrzył za dostarczenie mu trzeciej kasztanów. — Miał godziwą rozrywkę i jednocześnie poobiedni deser.

Naogół wszakże: „Karmić zwierzęta surowo wzbronione — Magistrat“. Brzmi to wprost niewiarogodnie; taki napis i w dzisiejszym kryzysie. — „Choćż to życie idzie po grzbiecie, jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie — mówi jakiś nieprzyjmiły poeta romantyk. — Może miał rację. Ofiarność ludzi względem zwierząt trzeba powstrzymywać aż przepisami rozporządzenia policyjnego. — A gdyby tak przed Caritaesem wywiesić afisz: „Pod surową odpowiedzialnością sądową zabrania się przynosić ołżież i pożywienie dla głodnej biednej dzatwy — Zarząd.“ — Jak sądzicie, czyby to odniosło skutki? Mniemam, że owszem. Ludzie lubią robić wszystko na złość. — Słowem Zoologowi powodzi się dobrze, lepiej bądź ci bądź niż instytucjom dobroczynnym, niż aktorom. — Wiadomo Zoolog nie ma ZASP'u. A wpuścić tam Dygasa? Strajk. Schillera — Szkodnika? Kolektyw.

Zoolog pod względem frekwencji na strajku teatralnym skorzystał. — Bo gdzież publiczność ma szukać zabawy rozrywki, jak operę zamkniętą? Może iść na Rewję? Dzięki!

Wogóle słusznie ktoś zauważył, że im częściej chodzi się na Rewję, tem więcej ceni się. — Zoolog. —

Gdy opery nie otworzą, w niedzielę znów do Zoologu się wybiorę... Nie odczuwam zatem, że czegoś mi brakuje.

W chwili, gdy piszę te słowa jeszcze nie wiadomo, jak się ukształtują stosunki w świecie teatralnym. Jeżdżą pogłoski, że dyrektor będzie syty i aktor najedzony — znaczy się w powietrzu czuć kompromisem tak, jak czuć było skandalem. — W Poznaniu sytuacja przedstawia się lepiej, niż gdzieindziej. Między Dyrekcją i artystami nastanie według wszelkiego do prawdy podobieństwa zgoda na następujących warunkach: łamistrejke Pegaz siedzący na dachu opery, w momencie, gdy aktorzy ją opuścili — ma ustąpić z dotychczasowego stanowiska, a jego miejsce zajmie Dygas. — Po wtóre: Ogier ten (Pegaz a nie Dygas), zostaje usunięty z ZASP'u, a jako niezwiązkowego nie wolno go angażować na następny sezon. — Biedny Pegaz! Zatem otworzą się podwoje opery i znów mile tam będziemy spędzać chwile. — A-tylia... dyrygent Boży stanie do pulpitu, a p. Irena Jedynska odtańczy nam arję z „Halki“ „Balerina, oj jedyna, dziewczyna moja“!

Przedtem wystąpi Kiecura, zanim się dały kon-flit teatralny załagodzi. Kochany polski Caruso zaśpiewa nam wyjątek z jakiejs amerykańskiej opery, choćby arję: „O Dolares jeszcze jeden raz“. Tym razem jednak panność ceny nie będą podwyższone, bo są kalkulowane zgodnie z konjunkturą gos-

podarczą, to jest będziemy mieli koncert po denach niżej p. Kiecura kosztów własnych. Bo Kiecura był dawniej polski lar-uso, ale obecnie mamy już drugiego lara (i to b. ministra!) z dużym głosem w rządzie. Poza tem gwiazdla Kiepurę zgasiła wobec Dygasa; Dygas ma większy głos, niż Kiecura, ale... w ZASP'ie. Przecież ZASP ważniejsza placówka, niż opera. Opery pozamykali a ZASP'u wszak dotychczas nikt nie przymknął. Ale przyjdzie prasa na Dygasa, nie dziś to jutro. —

Ubóstwiany irozrywany szrapnelami ognistych spojrzeń Poznaniemek, przybył Kiecura „tu dotąd“, (sic) by spędzić kilka wcale ładnie wzruszających momentów. — Jeden Poznaniak poznał się na Kiepurze (wyjątkowo p. Kamiński nie tego!) Ameryka dopiero naszego Kiepurę pozna, jak ten im zaspi z denami. Zniszcz, Kochany Rodaku tych snobów sklepikarzy. Niech i oni mają też w budzecie dziurę, a cięplą gotóweczkę przelej do Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, no nie? Serce za serce!

Kiecura przyjeżdża a Bandrowski odjeżdża, boć czytamy w „Ilustracji Wielkopolskiej“ co tygodnia jego zapowiedzieć: „jadę na Uja — kali... i Hipermaganicum budować miasto“. A skąd na to gotówka, panie Jerzy. Potem ktoś się dziwi, że literatom się nie wierzy. Trudno. P. Prezydent Ratajski inaczej: jedzie najpierw w jakieś strony i potem pisze na miejscu pobytu, a nie w Esplanadzie. —

Czytaliśmy bowiem w prasie: „W tych dniach spędzał wywczas w Zakopanem p. Prez. Ratajski i do księgi pamiątkowej hotelu Bristol wpisał aforyzm: Zakopane, najmiłsze uzdrowisko, niech się rozwija dla zdrowia ludzkości“. Żeby tylko Amerykanie, chorujące na spleen i Angliki — na angielską chorobę chciały do tego Zakopanego przyjeżdżać. Dla dobra ludzkości! Kochana Polska, wciąż się poświęca dla tej ludzkości, a ta ludzkość precz wystawia nas tyłem do wiatru. Eh, sarmaty, niepoprawne romantyki wiedeńskich wypraw i... walców. — To samo Bandrowski, jedzie gdzieś budować nawet miasto, jakby u nas kwestja mieszkaniowa była rozwiązana. A patrijota.

Poznań „szportowne“ miasto, całe niedziele spędza na sportach. Niedługo mają się rozegrać senjadyjne zawody „letkoatletyczne“ pod wezwaniem: „Szukasz guza — wstąp na chwilę“. — W naszym mieście muszą być same sensacje; takie niby ciche, spokojne, moralne, Bayo-bojne miasto, a co krok, brrrrr... sensacja. Mówi się głośno o tem, że przyjeżdżie do Poznania Kostka-Biernacki na komisarza rządowego firmy Brzeski — Auto.

Zadziwiająca przytem sensacją jest zjawisko, że „Kurier Poznański“ zyczliwiej ustosunkował się do Marszałka, bowiem, kiedy w „Słońcu“ wyświetlano film p. t. „Fałszywy Marszałek“ (Przyp. nasz: Co wtedy robił pan cenzor?) pismo to wydrukowało, wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, Marszałek dużą literą. Koła nieufnych sanatorów twierdzą, że to było objawem endeckiej perfidji — koła zaś sanacyjne, zbliżone do organu „Poznańskich Nowin Tygodniowych“ (Wieczne odpoczywanie racz...) utrzymują, że ta koncesja ortograficzna „Kurjerowi“ na rzecz Marszałka jest wyrokiem dłu-

gich Namysłów i pertraktacyj z odnośnemi (sik!) kołami N.D. Porozumienie nastąpiło na zasadzie formuły kompromisowej: „Kurjer” odtąd będzie pisał Marszałek zawsze dużą literą, wzamian za co uzyskuje to, że Międzynarodowe Targi Poznańskie będą się nazywały: Targi Poznańskie Związku Ludowo-Międzynarodowego. (sik!) Słowem w temperaturze polityczno-gospodarczej odprężenie. Daj Boże! Kochane miasto, jakże cię nie lubić, tu tylko spędzać chwile, tu spędzać minuty czarownych dni i wieczorów, w tem miścioie zdnowych zasad i mocnych hasel w rodzaju: „Hasłem dnia — wszyscy do ogrodu Zoologicznego”. (autentyczne z Nowego Kurjera)

Szkoda jeszcze, że nie napisano: Rodacy, Swój do swego — zwiedzajcie zwierzyniec“!

Zatem pocóż aż do „Ujakali budować miasto“, gdy w Poznaniu wszystko jest budujące; tu tylko spędzać czas, tu tylko żyć a nie umierać, tu tylko umierać a nie żyć!

Mili czytelnicy, spędzajcie tedy w Poznaniu, co chcecie i jak chcecie, gdyż mówi mędrzec: „Bo największy w tem ambaras, żeby spędzić... ale zaraz“ — jutro może być już zapóźno. Larpe diem. No nie?

O Neapolu precudny kraju...

Leon Sobociński.

NIESTETY PRAWDZIWE

Piszą nam:

„W pociągu Warszawa—Paryż zawarłem przygodną znajomość z młodą, wcale sympatyczną Niemką, jak się w toku rozmowy okazało, córką znanego pacyfisty Otona Lehmann-Russbueltda. Z ciekawości ujrzenia kraju, o którym w Niemczech tyle się mówi, a tak mało wie, a także poczęści z namowy swych polskich przyjaciół, moja towarzyszka podróży wybrała się do Krynicy.

Oczywiście nie wszystko co zaobserwowała wprowiło ją w zachwyt, aczkolwiek w sądach jej stwierdziłam wiele obiektywności. Cóż jednak pomóc nam może najbardziej posunięta pobłażliwość obca, wobec takich skandalicznych faktów, jak ten, który mi przedstawiono?

— Mieszkałam w „Lwim Grodzie“ — zawiera mi się zagraniczna kuracjuszka. Płaciłam 26 złotych dziennie. Najpocziwszym człowiekiem w hotelu był portjer. Człowiek ten z zabiegliwością zdumiewającą i energią niespożytą starał się dla mnie o bilety kąpielowe, których nabycie przedstawiało nieprzewidywalne trudności. Nigdy nie wiedziałam, kiedy będę miała kąpiel. Bywało, że leżałam jeszcze w łóżku. Dwadzieścia minut przed dziewiątą wpada ten pocziwiec i wręcza mi bilet: „Pani jeszcze w łóżku? O dziewiątej ma pani kąpiel“.

Punktualne zjawiam się na miejscu. Wprawdzie mam bilet łazienki klasy pierwszej, dostaję jednak drugą, ale za

to podwójną. Zasnurzona już byłam w borowinie, gdy rozwarły się drzwi i do kabiny wszedł mężczyzna w podeszłym wieku w chalcie.

— Niech pan wyjdzie stąd! — zawołałam po niemiecku.

Żyd odparł, że nie myśli opuścić łazienki ponieważ w drugiej wannie przygotowano dlań kąpiel borowinową. Narobiłam krzyku, przybiegła kąpielowa. Począłam protestować przeciw tej wspólnej kąpeli ze starcem, już do połowy rozebrany i kiwającym z politowaniem głową, nie wiem, czy nad mem purytanizmem, czy nad mem, jak sądził może, asocjalnem ustosunkowaniem się do bliźnich.

Kąpielowa usiłowała zmitygować mnie.

— Przecież to stary człowiek, proszę pani, on pani nic nie robi.

— Czy pani myśli, że ja panią widzę przez borowinę — mamrotał starzec.

Ostatecznie postawiłam na swoim, grożąc zażaleniem do dyrekcji. Żyd zabrawszy swe manatki wyszedł, zostałam sama. Czy to nie temat do farsy? — zapytaniem tem zakończyła swą opowieść moja rozmówczyni.

— Tak, to byłoby śmieszne — pomyślałam. Rozśmieszające do łez, gdyby nie było prawdziwe, niestety“.

M. J. W.

Z ŻYCIA ZWIĄZKU LEGJONISTÓW

ZWIĄZEK LEGJONISTÓW POLSKICH W OSTROWIE WLKP.

6 września 1931 r. odbyło się w sali „Strzelnicy“ do- roczne zebranie tamt. Oddziału Związku Legionistów Polskich. Zebraniu przewodniczył delegat Okręgu p. St. Jamrozy. Placówka Ostrowska reprezentowana przez b. legionistów, zamieszkających w okolicznych powiatkach, okazuje wiele chęci do pracy społecznej, oraz do współpracy z bratnimi organizacjami na miejscowym terenie.

Prezesem Zarządu Oddziału wybrano p. pułk. Hycy, wiceprezesem D-ra Radoja z Kępna. Oprócz wym. weszli do Zarządu pp. por. Pruszyński, M. Szwarczewski i M. Wójcik:

ZWIĄZEK LEGJONISTÓW POLSKICH W LESZNIE

Dnia 6. 9. 1931 roku założono nowy oddział Zw. Legi.: w Lesznie. Przewodniczący Zebrania Prezes Okręgu Prof. U. P. Dr. Jakubski wygłosił piękne przemówienie na temat prac organizacyjnych w terenie. Placówka leszczyńska będzie zrzeszała w sobie elementy sprzyjające ideologii legionowej.

Prezesem Oddziału wybrano D-ra Wojdona z Bojanow, wiceprezesem Ks. Prob. Nowaka. Oprócz wym. do Zarządu weszli pp. Kaz. Punka, prof. Karpiński i Górski. Do Komisji

Rew. pp. Śmiechowska, Marcinkowski i Worc. Sekretarjat mieści się przy dworcu kolejowym u Kaz. Trnki.

ZWIĄZEK LEGJONISTÓW POLSKICH W POZNANIU

W czwartek 10. 9. 31 roku odbyło się przy szczelnie wypełnionej sali związkowej miesięczne zebranie członków oddziału oraz zaproszonych gości, na którym wygłosił Prezes Okręgu Prof. U. P. Dr. Jakubski ciekawy referat p. t.: „L-stopad 1918 r. we Lwowie w świetle krytyki“.

Poszczególne ustępy referatu były niebywałą rewelacją dla słuchaczy. Prelegent jako jeden z byłych szefów sztabu obrony Lwowa i b. współkierujący akcją obrony tego kresowego grodu, poruszył bardzo ciekawe momenty polityczne i społeczne na tamtejszym gruncie. Ze znajomością sprawy referent przedstawił szczegółowo organizację obrony Lwowa, scharakteryzował typy obrońców Lwowa tak żołnierzy, jak i kierowników akcji. Dwu godzinny referat nie wyczerpał w całości tematu przez co został w dalszej części odłożony do następnego zebrania miesięcznego na dzień 10 października rb. godz. 18.

Odczytem zainteresowały się sfery wojskowe, licznie reprezentowane przez Korpus Wyższy Oficerów z pp. Gen. Malinowskim i pułk. Dypl. Erw. Więckowskim na czele:

PROSTO Z MOSTU

GRZYMAŁA - SIEDLECKI o/a
GOETHE

Pan Siedlecki pisał powieści, które przerabiał na gorsze sztuki — dalej na pisał „Maman” i „Włamanie”, by wreszcie rozprawić się z Goethem. Mianowicie w swej recenzji o Pamiętniku Jana Tycy zamieszczonej w nr. 252 „Kurjera Warszawskiego” z dnia 15 września 1931 cytuje pan Siedlecki Goethego, lecz mocno poprawionego na swój sposób. I tak powiedział kiedyś pięknie Goethe: In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister — a pan Siedlecki przerobił to na mniej piękne i bezsensowne: In der Beschraenktheit liegt die Meisterschaft.

In der Bechraenktheit, a więc w ograniczeniu czyli głupocie... dalej to Meisterschaft — tak często dziś używamy! Tennismeisterschaft czy Fussballmeisterschaft — jest jednakże u Goethego nie do pomyslenia.

A więc panie Siedlecki — albo pan nie pamięta już dziś Goethego, więc poco wogóle cytować — albo też chciał pan poprawić mistrza weimarskiego, co jest karygodne, gdyż pomiędzy „Maman” czy „Włamanie” a Goethem jest jeszcze duża przestrzeń i to trudna do przebycia. *Roxi.*

MARODER

W „Małym Słowniku Wyrazów Obcych” (wydawnictwo M. Arcta w Warszawie nazwę „maroder” tak określono: żołnierz opóźniający się, po zostający w tyle za oddziałem wskutek zmęczenia i wyczerpania, żołnierz wioścącego dopuszczający się rabunku.)

Maroderzy są w każdej dziedzinie pracy. Pogardzani i lekceważeni nie mają naogół pretensji, by ich zaliczać do baonów szturmowych. Czasem jednak i maroderzy chorują na megalomanię.

Na czerwcowym zjeździe prezesów rad powiatowych BBWR w Poznaniu prof. Różycki wydawca „Poznańskich Nowin Tygodniowych” nazwał swój organ baonem szturmowym do pracy prorządowej w terenie. Członkowie zjazdu z podziwem patrzyli na dowódcę prasowego baonu szturmowego, a niektórzy widzieli w bujnej wyobraźni pierzochające tłumy wrogów.

Wszyscy jednak doznali wielkiego rozczarowania. 28 czerwca wyszedł ostatni numer „Poznańskich Nowin Tygodniowych”. W numerze 12 „Od A do Z” z dnia 12 lipca r.b. pisaliśmy już o tragicznych wróżbach i kabalistycznej trójce.

W „Gazecie Polskiej Zachodniej” z dnia 5 lipca r.b. i później ukazało się zawiadomienie, że „Poznańskie Nowiny Tygodniowe” ulegając licznym prośbom czytelników rozpoczęły urlop letni, a najbliższy numer ukaże się przeto dnia 6 września r.b.

Mimo zapowiedzi „Poznańskie Nowiny Tygodniowe” nie ujrzały światła dziennego ani 6 września ani do chwili obecnej.

Wydawca prof. Różycki nie ponosi żadnej winy. Numer był podobno zupełnie gotowy, tylko z czytelnikami był znowu kłopot. Wyrazili bowiem życzenie by „Poznańskie Nowiny Tygodniowe” pozostały jeszcze na urlopie.

Kończy się legenda, przebrzmiała pieśń o sławie wielkiego wydawcy.

Już w lutym roku 1931 szła głucha wieść między ludem, wyraźnie, że w Cukierni Dobskiego, że prof. Różycki jeden z najzdolniejszych dziennikarzy i publicystów polskich doby obecnej i ubiegłej zakłada olbrzymie piśmo codzienne. „Coś czego ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało”.

Potem przestano już mówić o dzienniku, a coraz częściej reklamowano tygodnik jako najwłaściwszy organ do „pracy w terenie”. Pogodną, uśmiechniętą

W TEATRZE POLSKIM

„Wielki człowiek do małych interesów”

Komedja w 5 aktach Al. br. Fredry.

Nastąpiła wreszcie upragniona chwila w której — po długiej, kilka bowiem tygodni trwającej „wszechpolskiej walce teatralnej” uniesiono żelazną kurtynę wciągając nas w wir szlachetnych wzruszeń i emocji. Zobaczyliśmy fredrowskiego „Wielkiego człowieka do małych interesów” którym był nasz mistrz Zelwerowicz. Rozpisywać się o nim i jego grze w superlatywach byłoby jedynie powtórzeniem hymnów pochwalnych jakie nie jedno już pióro przerzuciło na papier; nie czynimy więc tego, wszyscy bowiem widzimy w nim nie tylko wielkiego artystę — potężną indywidualność — lecz także doceniamy należycie jego wysoce wartościową i gorliwą pracę dla dobra sztuki. Wiele chwalebne, — piękne, jest jego przeszłość artystyczna — to też pozyskanie go przez dyrekcję Teatru Polskiego na bieżący sezon należy uważać za wyjątkowo trafne i korzystne pociągnięcie. —

Moment pojawienia się na scenie mistrza Zelwerowicza przyjęła szczerze wypełniona widownia burzą oklasków, uzewnętrzniając w tej formie swoją dla niego szczerą życzliwość, stwarzając temsamem naprawdę miłą sympatyczną atmosferę, która panowała do końca uroczystego wieczoru.

Obsada sztuki składała się z nowych młodych sił zaangażowanych do naszego teatru w większości z teatrów wileńskich.

Poznaliśmy się więc z p. Zofją Niwińską jako Matyldę. Czarowała nas swoją urodą, przekonywała do siebie kulturą, która przejawia się jaskrawo w całokształcie jej umiejętnie ujętej i przeprowadzonej roli. I jedynie moment w którym — myśląc o Anieli twierdziła że raczej jasnych niebieskich oczu szuka swem tęsknem spojrzeniem Dolski, zaniepokoił nas, szczegó-

niętą twarz mieli czytelnicy pierwszych numerów „Poznańskich Nowin Tygodniowych”.

Upojny powodzeniem wydawca „Nowin” objął z końcem maja „Gazetę Polską Zachodnią”. Stał na czele koncernu prasowego. W dzień zapewnił wszystkich, że nie chodzi mu o nic innego, jak tylko o dobro prasy prorządowej, którą na manowce wiedzy „niepewni sanatorzy”, a w nocy śnił cudnie: Oto wydawcy „Dziennika Poznańskiego”, „Gońca Wielkopolskiego” i innych pism, do których dotarła już wieść o zbawczych posunięciach jego, wyciągają doń dłonie i wołają „Prrowadź nas do zwycięstwa”.

Strzępy zostały jedynie z legendy o baonie szturmowym. Sny o koncercie nie ziściły się. Maroderzy nie prowadzą do zwycięstwa.

ten bowiem nie zgadza się z prawdą.

Drugie mile brzmiące nazwisko to p. Łukowska Zofja. Rola Anieli przypadła jej w udziale. Nieprzeciętnym wdziękiem swym i spojrzeniem pięknych czarnych oczu ujęła nas, w geście i ruchu swobodna podkreśliła swe cenne zalety sceniczne. W ostatnim akcie jednak załamała się, nie wykazując skupienia niemniej szczerego przejęcia się z tytułu „cennych” zwierzeń Dobskiego skierowanych do niej. —

Uznajemy rzetelną pracę i dużo dobrej woli p. Kreczmara w kierunku opanowania swej roli, ostateczny jednak o nim sąd pozwolimy sobie wydać po zobaczeniu go w „Roxi” w roli Billego którą, stosownie do zapowiedzi dyrekcji, kreować będzie w przyszłym tygodniu.

P. Kordawski stworzył doskonały typ Pana Ignacego wykazując nieprzeciętną umiejętność charakterystyki i właściwie dobraną tonację głosową, którą posługiwał się przeprowadzając swój wartościowy epizod. —

P. Oskardowi (Karol) należą się również słowa pochwały choćby za do skonałe zrobiony, serdeczny wybuch radości z racji pozyskania dla siebie Matyldy (akt V) natomiast więcej naturalności zalecamy w śmiechu, który często — stosownie do roli — znajduje się na jego ustach.

P. Tylczyński (Alfred) jakkolwiek miał tylko jedno wejście — zainteresował sobą widownię.

Rola Leona w ujęciu p. Modzelewskiego spokojnie i miarowo potraktowana nie uszła naszej uwagi.

Z pozostałych epizodów zaciekał nas typ Marcina służącego Dolskiego; — inne wykonane zostały poprawnie.

Reasumując, — spektakl piękny i godny widzenia. —

Stanko.

Burza

Będzie burza...

Wiatr hula po wybrzeżu. Morze niedawno jasne, wesołe, niefrasobliwe, jak dziecko rozbawione i swawolne pociemniało nagle — posmutniało. —

Białe wierzchołki fal podnoszą się rzutem chybkim, miarowym i gwałtownie znikają z powierzchni morza, jakby zdmuchnięte siłą wiatru.

Dziwny niepokój ściska serce... biegnę — a zda mi się, że goni mnie wiatr, by złośliwie porwać jak żdźbło trawy, — jak piórko, rzucić tam w tę bezdenną ryczącą otchłań na żer — na zabawkę rozpasanym falom...

Plecy siecze już deszcz — padają duże krople — skowyczy wiatr — szaleje morze — hu! ha!... — miota bryzgami pian. —

Hu! ha! ha... padają fale, — nie to nie fale już, — to gory wodne podobne do legendarnych grzywiastych bestji pędzą do brzegu... — deszcz coraz większy — biegnę co sił — nogi grzezną w ciężkim mokrym piasku — ciężko iść — wlokę się na wzgórek cyplu, gdzie u brzegu czerni się parę łódek — dobre i to!

Koło łódki jakiś człowiek schylony składa sieci i zwija żagiel.

...Chwała Bogu jest choć ktoś — jakaś żywa dusza w pobliżu — cieszę się w myśli.

— Panie! Panie! czy nie można się schować do pańskiej łódki — krzyczę zdaleka — ach jak pada — nie dobiegnę do domu!

...ja, ja, pada... słyszę spokojną odpowiedź.

Pertraktuję dalej niezrażona „Czy nie mogłabym się schować do pańskiej łódki?”

„Tu bardzo mokro” — odzywa się. — Przybliżam się i widzę krzepkiego jeszcze starca, który nadal mimo ulewne go deszczu, kończy zwijanie żagla i chowa wiosła.

Jestem zrozpaczona, mokra jak kura; z brody jak z ryny ścieka kroplami deszcz. Włosy zalepiły mi czoło — chowam się jak mogę za burt łódki.

„Niech pani idzie zemną” — nagle oznajmia mi mój przygodny znajomy.

Wstaję więc i pokornie idę za moim cicerone.

Bniemy przez wał piachu i tuż o parę kroków wyrasta jak z pod ziemi malutka na czerwono malowana chatynka i mruga mi przyjaźnie małymi swymi okienkami. Tak znam taką chatkę — kiedyś, kiedy byłam małą dziewczynką w mojej książce z obrazkami była taka samotna...

Witam radośnie mój dobry, kochany domek, jako zapowiedź ciepła i suchego kawałka ziemi.

Przez czerwono malowane holenderskie drzwi wchodzimy do malutkiego pokoiku obitego tapetą w różowe naiwne kwiatki. Przy stole siedzi żwawa okrągła, jak jabłko staruszka z wijającymi się siwymi włosami.

„Zmokła Pani” — wita mnie od progu.

„Ach jak jeszcze” odpowiadam i wyprostowuje się, by choć na chwilkę nie czuć mokrego ubrania.

„Niech Pani zdejmie suknie” mówi rybaczka i gościnnie podaje mi krzesło...

Ach — jak mi dobrze w tej chwili w tej małej, czyściutkiej izdebce — z dwojgiem struszków, którzy mi się wydają dobrymi znajomymi. — Wnet suszy się ma suknia, a na stole dymią ciepła herbata.

„Z Warszawy Pani?” pyta gospodyni, a jej mąż, a mój wybawca siedzi i kiwa głową w takt jej słów, jak mój mały chińczyk z serwantki.

„O nie, ja mieszkam jeszcze dalej” odpowiadam.

„Hm, jeszcze dalej — U nas tu była jedna Pani z Krakowa, doktorka, a dała mi dobre lekarstwo — o bardzo dobre — mądra kobieta...”

Rybak znów potakuje głową z uznaniem.

Uśmiecham się, bo już mi jest ciepło i dobrze. — A tak mówię — widzi pani i kobiety teraz dobrze leczyć umieją.

„Ja, ja, mądra kobieta” słyszę znowu, bez nauki to człowiek głupi jest.”

„Teraz kobiety pracują tak samo jak mężczyźni, kończą nauki, są doktorami, profesorami i umieją radzić dobrze ludziom.”

„Zawsze i wszędzie były kobiety mądrzejsze od chłopów, od dawien dawna.

Spoglądam zdumiona. — Cóż za oryginalna emancypantka!... Czyżby nowe prądy dotarły do tej chatynki, życiem wziętej z książki dla grzecznych dzieci i tu znalazły fanatyczną apostołkę?

„Czyżby tak zawsze było?” pytam z uśmiechem i spoglądam na staruszków.

Posłuchaj Pani — ja nierad kłamię, ty młoda śmiać się będziesz z baśni, ale już dawno tak gadali ojcow naszych ojcowie... kobieta mądrzejsza od chłopą.

Deszcz ciągle pada — niema nadziei by ustał prędko — zaciekawiona proszę o tę opowieść — wszak w tej chatynce z marzeń małej dziewczynki, trezba koniecznie posłuchać bajki.

Staruszka nie długo dała się prosić.

„Posedł rybak do ogrodu obziera się na drzewa i tak se myśli: stara duża grusza owocu nie widaje to wykopiem ją i bądzie opał.

Wszedł do izby i mówi to córce Magdusi, a ona na to „Jak ty ojce se spodoba tak rób”.

I sciol rybak grusę.

A kiedy już całkiem ją wykopał i porąbił, w korzeniu znalazł kelich złoty. Uradowany przybiegł do Magdy i woła: „Magdusa, Magdusa będę teraz bogaci, znalazłem skarb ogromny — pojedem do króla, zaniósę kelich, a on nam za to coś da”. A mondra Magdusa na to — Ojciec nie rób tego, bo cie król może poskarżyć o kradzież.

Ale rybak nie usłuchał mondrej rady, posedł do palacu by oddać kelich.

I tak so stało, jako Magda mówiła. Panowie posądzili biednego rybaka, że kelich skądś ukradł.

Siedl se tedy biedny chłop przed palacem i zaczął płakać. „Ja, ja gdybym usłuchał córki Magdusi, to bym kelich tu nie pokazywał.

Właśnie przechodził król — i usłyszał te słowa — a że mientkie miał syrcę pyta se: „cegoz czolwiece placesz?” a rybak tylko ciągle wkoło.

„Ja! ja! mondra moja córka Magdusa!”

Uśmieł so król i mówi nato: cieja twoja córka taka mondra, to niech przyndzie w goście do mnie i niech nie przynidzie, niech przyjedzie do mnie i nie przyjedzie, — ani naga, ani odziana i niech przinesie i nie przinesie tez mi coś w prezencie — inacej ukradłes kelich — niech ce mondra córka ratuje.

No Magdusa nato mondra owinęła se wokół sieci i nie była ni naga, ni odziana. Osiodłała koźła i jedno nogo postawiła mu na grzbiet, a drugo szła po ziemi, ni szła, ni jechała. Wziena też w koszyk dwóch gołąbków i tak przysła do króla. Przed samym jego nosem otworzyła koszyk, a gołąbki powelotywały prec — przyniosła prezent, ale król go nie dostał.



Prof. Roguski.

„Dziecko“

Zdziwił so król i mówi:

„Ciej tak ty mondra, musisz moją białką być, ja ce mniłuję“. A Magda nato: „Jakże jo mogę być twojo białką, kiedy jo córka biednego rybaka?“

A król rzek:

„Kedy ty mi się spodobasz — musisz zostać moją białką“.

Wkońcu zgodziła się biedna Magdusa i pobrała króla za męża — żyli dobrze i szczęśliwie.

Ale cóż ztego, kiedy przyszło nieszczęście.

A było tak:

Jeden, sługa króla miał kobyłę, która miała zrodzić zgrzebię — a stała obok wolu w królewskiej stajni. — Gdy rano urzędnik przyszedł do stajni, patrzy a zgrzebię stało przy wolu. Tedy ten czyj był wół mówi — „to moje zgrzebię“ — a drugi — „a moje“, tak długo so klócili, aż poszli do króla, ażeby ich rozsądził.

Król niedługo nameszł so i zaraz gada: „przykim zgrzebię stało, tego jest“. Zasmucił so stary sługa i odszedł zafrasowany do mondrej królowej po radę.

A Magda na to: „Nie smuć so — Pozdejle, znajde radę!“

Wezmiesz kawal sieci pojedziesz na pieszczą gorę i będziesz tam pracował jakbyś ciągnął po rybie — zrób tak jak mówię.

Usłuchał stary, wziął so sieci i ciongnie je po piasku, aż piach ino skrzypie.

Jak to król zobaczył wola: „A ty głupi człowiece, ty na tej pieszczą gorze myślisz ryby łowić?“ No, a ten nato: „tak łowie, bo jeżeli podobno jest, żeby wół rodził zgrzebię, to i mnie podobno jest tu na piasku złowić ryby“.

Zawstydził se król, bo widział, że głupszy jest od swej

białki. Ale że złość go wzięła skrzyknął na Magdę by prec szła sobie. Zaplakala biedna królowa i mówi:

„Królu pojde os prec, ale dej mi zabrać coś z palacu, co mi nojmilse, zgadzam se iść do ojca; tylko pozwól jesce z tobo pospolu jeść dziś wieczerzę.“

A król nato: „a dobrze“.

I jedli pospolu, a król wypił dużo napoju i uśpił twar-do.

Wtedy Magda kazala zaprząć konie zanosła męża do wozu i zawiozła do ojca. Złożyli go na słomie w stajni, a król spał so i nic nie wiedział, co se z nim dzieje. Królowa położyła se obok niego i leży cicho. Jak so król obudził o-bejrzył se po wszete strony i pyta:“

„Jakże ja tu przyszedł?“

A Magda rybicka córka nato: „Jezdeś przy mnie, pozwoliłeś wzoinć co mi najmilsego w palacu, a ty mi jezdeś najmilse“.

Udobrzył so król i gada „kiedy ty tak mondra to zgoda będzie z nami, bo z rybicką córką se nie mogę równać rozumem — żyjmy w zgodzie pospolu. I żyli szczęśliwie.

Ściemniło się już — na dworze ustał deszcz. Napojona wysuszona, pożegnałam przemitych staruszków. Uprzejmie wyprowadziłam mię za próg chatki, by pokazać najbliższą drogę do wsi. Uściśnęłam ich stare twarde dłonie z nadzieją, że ich jeszcze odwiedzę...

W parę dni później opuściłam polskie wybrzeże. Pożegnałam się morzem jak z bliskim ukochanym druhem. W dzień mego odjazdu ubrało się w syrenią przytykaną brylantami słońca szatę.

Wiem, że wrócę do ciebie szeptałam falom miłośnię, wrócę starsza — bardziej znużona życiem, by przywitać Ciebie — ty o wieczne młode, radosne i zaczerpnę sił z ciebie — o niewyczerpane...

Może jutro zdradzę cię zachwycona kolorem róży, co rozkwitła w moim ogrodzie, lub uwiedzie mnie korowód gwiazd, co błyszczą jesienną nocą — ale wiem, że jednego dnia porzucę róże, zbledną mi gwiazdy i powrócę do ciebie — o morze... — będę leżeć na piasku, moknąć w morzu i na deszczu napewno w małym kolorowym domku będę słuchać baśni starej kaszubki.

Tak wrócę!

Marja Wróblewska-Matejko.

Zygmunt Szpingier w Poznaniu

Po kilku letnim pobycie w Paryżu przybył do Poznania słynny malarz Zygmunt Szpingter, którego w Paryżu nazywają „malarzem Montmartre'u“.

W najbliższym czasie urządza nasz znakomity rodak po raz pierwszy wystawę swoich prac w Warszawie i Krakowie. Następnie przypomni się i Poznaniowi. Będziemy więc mieli możność zapoznania się z jego najnowszymi pracami.

NAJELEGANTSZE w POZNANIU KINO SŁOŃCE

CZY WIECIE JUŻ...

...że fundusze naszej propagandy zagranicznej obracane są przez placówki dyplomatyczne na subwencjonowanie dziennikarzy... polskich, którzy wolą przebywać zagranicą jak w Polsce.

...że w Polsce przebywa legalnie za wizą udzieloną mu przez poselstwo polskie w Berlinie, komunista niemiecki Max Hodann, rzekomo piszący książkę o Polsce pod rządami Marszałka Piłsudskiego. Hodann, jak twierdzi korespondent „Kurjera Czerwonego“, jest autorem scenariusza dźwiękowego osnutego na tle zfery szpiega Demkowskiego i attache sowieckiego pułk. Bogoboj.

...że w pierwszorzędnym hotelach — pensjonatach w Zakopanem jest relatywnie drożej jak w Szwajcarii.

...że znany na bruku wiedeńskim „literat“ Roman Hericz wydrukował paszkwil pod tytułem „Mózg i krtań“, w którym opisuje wysoki erotyczny Jana Kiepurę nad modrym Dunajem. Mówią, że plenipotent Kiepurę wykupił już trzeci z kolei nakład tego arcydzieła szantażu.

...że rząd litewski odmawia swego zezwolenia na wzniesienie uniwersytetu katolickiego w Kownie, natomiast nakłania organizatorów do obrania za siedzibę uczelni Kłajpedę.

...że dobrze zapisany w pamięci myślącego społeczeństwa poznańskiego p. Tadeusz Jankowski, naczelny redaktor „Przeglądu Porannego“ w okresie gdy dziennik ten z powodzeniem zwalczał separatyzm dzielnicowy „naszych bawarczyków“, po kilkuletniej służbie w centrali MSZ mianowany został wicekonsulem w Paryżu.

...że redaktor naczelny „Dziennika Bydgoskiego“ i „Nowego Kurjera“ p. Jan Teska ustąpił ze swego stanowiska, a udział swój przepisał na syna Leszka. Zmiana ta pociągnie za sobą rozwód i może zbliżenie wydawnictw do p. Korfanego.

...że w Krynicy zjawilo się u dyrektora zdrojowego p. Nowotarskiego trzech oszustów i wylegitymowawszy się jako przybyli z Warszawy delegaci „Ligi Obrony Powietrznej“ nakłonili go do objęcia protektoratu nad balem z którego dochód przeznaczony być miał na ową pożyteczną instytucję. Sprytnie rozreklamowany bal dał świetny wynik kasowy i obłowione niebieskie ptaki zniknęły nie trudząc się nawet uregulowaniem rachunku w pensjonacie.

...że znany Poznaniowi z odczytów red. Tadeusz Katelbach jest autorem źródłowej pracy, która pod tytułem „Niemcy wobec zagadnień narodowościowych w Europie“ opuści niebawem prasę drukarską w nakładzie Instytutu Badań Spraw Narodowości. Książka ta, jak twierdzą poinformowani wysunie autora w Polsce na czoło znawców europejskich

problemów mniejszościowych.

...że Bank Związku Spółek Zarobkowych oddał połowę swoich zastępstw prawnych czołowemu adwokatowi, przed stwiciełowi Zjednoczenia Pracy Mast i Wsi.

Kara śmierci za podpalenie.

Od szeregu miesięcy lamy prasy pełne są wiadomości o pożarach, niszczących bezpowrotnie mienie ludzkie, wytworzone z wielkim nakładem pracy i czasu. Około 7 milionów zł. szkód ogniowych powstało w pierwszej połowie roku bieżącego w Województwie poznańskim. Przy panującym obecnie braku kapitału milionowe straty te tembardziej dają się odczuć w życiu gospodarczym. Niestety zbyt często przyczyną pożaru jest podpalenie, jakto stwierdzają statystyki zakładów ubezpieczeniowych oraz raporty policyjne. Motywem podpalenia są z reguły żądza zysku, chęć wybrnięcia z ciężkiego położenia pieniężnego, dalej żądza zemsty i t. p.

Przestępstwom tym należy położyć kres. Rozporządzenie o sądach doraźnych obowiązujących od dnia 10 września 1931 r., zwraca swoje ostrze również przeciw podpalaczom.

W myśl punktu 2 rozporządzenia zbrodnia rozmyślnego podpalenia podlega karze śmierci

Tak jak podczas wojny światowej, gdy podpalaczom groziła również kara śmierci a ilość pożarów wskutek tego zmalała bardzo silnie możemy mieć najlepsze nadzieje, że i obecnie palność obniży się znacznie. Obostrzenie rygorów prawnych sparyalizuje niewątpliwie wywrotne instynkty podpalaczy, zmusi ich do poddania się nakazom dyscypliny socjalnej, koniecznej dla ostanienia się każdej społeczności. Dotąd podpalaczowi groziło zazwyczaj ciężkie więzienie. Obecnie zaś grozi mu nie tylko utrata dobrego imienia, lecz również utrata życia, pogrążająca jego rodzinę w nędzę i hańbę.

Rozporządzenie z dnia 10 września przyczyni się niechybnie do usunięcia wrzodu, jakim są dla społeczeństwa podpalenia.

P. T. Abonentów

Zawiadamy uprzejmie, że prenumerata opłacona za miesiąc wrzesień jest ważna również na październik.

Z przyczyn od nas niezależnych tygodnik ukazywał się w ostatnim czasie nieregularnie. Miło jest nam wyrazić nadzieję, że Szan. Czytelnicy w zrozumieniu trudności, jakie przeżywa dziś każde pismo, pozostaną nadal przyjaciółmi naszego pisma.

PRZESTROGA!

Rozporządzenie Rady Ministrów o wprowadzeniu postępowania doraźnego weszło w życie z dniem 10 września 1931 r.

W myśl punktu 9-tego rozporządzenia podlega

karze śmierci

KTO PODPALI UMYŚLNIE CUDZE LUB WŁASNE BUDYNKI, SŁUŻĄCE NA MIESZKANIE LUB CZASOWY POBYT DLA LUDZI;

KTO PODPALI INNE MIENIE CUDZE JAK: STODOŁY, CHLEWY, SZOPY, MAGAZYNY, STOGI, LASY, TORFOWISKA ITD.;

KTO PODPALI JAKIEKOLWIEK MIENIE SWOJE, NP. STODOŁĘ, CHLEW, STÓG, TORFOWISKO, PŁODY ROLNE ITD., JEŻELI STĄD POŻAR MÓGLBY SIĘ PRZENIEŚĆ NA BUDYNKI, SŁUŻĄCE NA MIESZKANIE LUB NA CZASOWY POBYT DLA LUDZI.

Przeciw wyrokom sądów wydanym w postępowaniu doraźnem niesłuży odwołanie.

Kara śmierci wykonalna jest w ciągu 24 godzin.

W POSTĘPOWANIU DORAŻNEM NIE MAJĄ ZASTOSOWANIA PRZEPISY INNYCH USTAW O ZŁAGODZENIU KARY.

GENERALNY DYREKTOR

**KRAJOWEGO UBEZPIECZENIA OGNIOWEGO
W POZNANIU**